

Złota nitka



ELIZA ORZESZKOWA

Złota nitka

Czy taki dzień, jakim był dzisiejszy, nazwać można pięknym czy brzydkim? sama nie wiem. Zależy to zapewne od upodobania i usposobienia. Jedni lubią słońce upalne i błękity, usiane iskrami, inni, zmęczeni może nieco — któż oprócz nich powieścić może czém? — z rozkoszą topią oczy w chmurném sklepieniu, w mgłę, w zmroku.

Dziś po południu wyszłam na przechadzkę, za dwór, za drogę, którą jeżdżą i chodzą ludzie, w pole daleko. Jeszcze to niby lato, ale zboża już żęte, ziemię okrywa kolczata ściern, pośród której, na miedzach, sterczą tu i ówdzie kąkole, dziewanny i polne grochy. Dzikie grusze, stróżujące nad pustemi zagonami, jeszcze zielone, ale od skwarów i kurzawy przywiędłe i ciemne, brzozy zaś i olchy, dokoła ogrodu dworskiego i przy drodze rosnące, połyskują z dala, niby rzeźbami z brązu, żółklemi gałęzmi; pracy ludzkiej, ruchu i gwaru, które jój towarzyszą, ani śladu. Wieś nawet, długim rzędem chat na tle półkolistego lasu szarzejąca, nie daje znaków życia. Zkądśiś tylko, z przeciwnej strony drogi, płyną powietrzem melancholijne wołania, którymi oracze napędzają leniwe swe woły; od dworu dochodzi basowy turkot młocarni, podobny zdala do podziemnego, nieustającego grzmotu; pod czarnym lasem wiją się sine wstęgi dymów, oznaczające miejsca pastwisk, które też od chwili do chwili ozywają się przenikliwym, kilka nut żałośnych do nieskończoności powtarzającym, śpiewem fujarek. Nad tém wszystkiém niebo, od skłonu do skłonu okryte płachtą białych obłoków, gdzie nigdzie tylko wzdymającą się w ciemne, na różny sposób wyrzeźbione chmury, a pośrodku nieba, z za białej płachty, w miejscu tym niby muślin rozrzedzonej, tarcza słoneczna omglona, bez promieni, do okrągłego, blade-złotego opłatka podobna. Mylę się. Nie była ona całkiem bez promieni; bo gdy, ścigając okiem jaskółki, które długim, czarnym sznurem ciągnęły ku zachodowi, spojrzałam na to blade i smutne słońce, zobaczyłam promień jego jeden jedyny, złotą niby nitkę, która świeciła i urywała się wysoko.

Kto mi wskaże te napowietrzne drogi, któremi przylatują do nas wspomnienia? Kto mi powie, dlaczego pogoda dzisiejsza, taka smutna i taka cicha, przyniosła przed pamięć moją jedną znaną mi kiedyś kobietę i jeden moment z jój życia? Było to przypomnienie tak nagle i wyraźne, że w chwili właśnie, gdy patrzałam na ów promień słoneczny, bardzo wysoko świecący, pomiędzy nim a oczyma memi przesunęła się, jak żywa, i nawet uśmiechnęła się do mnie, piękna, lecz bardziej jeszcze niż piękna, zajmująca twarz Felicji Olińskiej.

Po raz pierwszy zobaczyłam ją wtedy, gdy, ze wsi przybywszy do Ongrodu, odwiedziłam dom Józefa Olińskiego. Odwiedziłam go z przyczyny interesów pieniężnych, musiałam przeto coś o nim wiedzieć. Wiedziłam, że Józef Oliński był ex-właścicielem ziemskim, który, sprzedawszy majątek swój, osiadł na miejskim bruku częścią z potrzeby, częścią z dobrej woli; że był on człowiekiem nieposzlakowanej uczciwości; że dość zamożnym, lecz wcale niebogatym będąc, utrzymywał w domu swym wiele osób, do bliższej i dalszej rodziny jego należących; że nakoniec żonatym był po raz drugi i z pierwszego małżeństwa miał troje dzieci. Takimi wiadomościami zaopatrzona, weszłam do saloniku, dość obszernego i napelnionego osobami różnej płci i różnego wieku.

Na spotkanie moje, od karcianego stolika, z nad którego powstał, postąpił gospodarz domu, człowiek około pięćdziesięcioletni, z leniwą trochę i senną, ale sympatyczną powierchownością. Wysoki i barczysty, musiał on mieć za młodu postawę piękną, którą nadwierała teraz znaczna otyłość. Jasno płowe i siwiejące włosy jego w szczególny spo-

sób odbijały od czerstwej, rumianej twarzy, pośród której świeciły blado błękitne, pełne dobroci oczy. Ta-to właśnie dobroć, widocznie uwydatniająca się nietylko w spójrzeniu, ale w wyrazie ust i uśmiechu jego, czyniła go sympatycznym. Powitał mię, nie jako osobę dla interesu przybywającą, ale jako miłego gościa, i od razu, niezgrabnie trochę, lecz bardzo pocziwie, wprowadził mię w koło swjej rodziny. Odbyło się to w ten sposób, że naprzód zupełnie niespodzianie usłyszałam wymienione własne swoje nazwisko, a potem przez pięć minut brzmiały mi w uszach imiona i tytuły przedstawianych mi osób.

— Matka moja, Franciszka Olińska; ciotka moja, Anna Liniewska; wuj mój, Alojzy Choimski; siostra moja, Michalina Olińska; córka moja, Emilia; syn mój Władysław; synek mój, Mieczysław; goście nasi i przyjaciele: pani Zuzanna Skwierska, pan Ludwik Okimski.

Skończywszy, zapytał:

— A gdzie Felcia?

Zapytanie to dało początek następującej, krótkiej, lecz zwawiej rozmowie.

— Toż przecie do miasta poszła.

— POCO? czego?

— Toż przecie po ciastka.

— Po jakie ciastka?

— Ależ, mój Józiu, do kawy przecie...

— To czemuż kto inny nie poszedł?

— Ależ, mój papo, przecie nikt tak papie nie dogodzi...

— To prawda. Ale zaraz powróci?

— Naturalnie zaraz; bo i my w „bałamuta” grać nie możemy.

— A dlaczegoż nie możecie?

— Bo klucz od komody, w której karty, u niój.

— Przepraszam, bardzo panią przepraszam — zwrócił się do mnie pan Oliński — ale chciałem przedstawić pani jeszcze i żonę moję! Gromadka nas jest, jak pani widzi, spora, ale jakoś — dzionek po dzionku przechodzi i... dobrze! przyznam się nawet pani dobrodziejce... choć to może i wstyd trochę, że od czasu, jak porzuciliśmy wiejskie kłopoty i nudy, a osiedliśmy sobie w miasteczku, odżyliśmy wszyscy. Zawsze tu jakoś to ten, to ów odwiedzi, pogawędzi, i... w preferansika...

— Kościół blisko — przerwała matka.

— Doktor i apteka pod ręką — dorzuciła ciotka.

— Ga... ga... gazety co... co... codzień — wypowiedział mocno zająkliwy wuj.

— Żeby tylko nie gimnazjum, i ja był-bym wielkim amatorem miasta — zaśmiał się ośmnastoletni chłopak w szkolnym mundurze.

— O, miasto! Wstydz się, Władziu, taką dziurę miastem nazywać! — sarknęła córka Emilia, dwudziestoletnia panna, siedząca na szezłagu w postawie trochę niedbałej, w lokach, wstążkach i pantofelkach, z których wyglądały różowe pończoszki.

— Przepraszam — powtórzył znowu uprzejmie gospodarz — pani dobrodziejka życzy sobie podobno pomówić ze mną o interesie? proszę, bardzo proszę...

Poprowadził mię do kanapki, tak od najbardziej zaludnionych miejsc salonu oddalony, że poufna nawet rozmowa spokojnie tam prowadzoną być mogła.

Interes resztą ani tajemniczym był, ani bardzo ważnym. Rozmawiając o nim, przypatrywałam się osobom, w salonie zgromadzonym. Były to postacie bardzo rozmaite, lecz bardzo zwyczajne.

Staruszka matka była wcale miłą staruszką. Białe garniowanie czépka jój ładną tworzyło ramę dla pomarszczonej lecz okrągłej twarzy, której rysy, pospolite, lecz żadną szpetotą nierzające, uderzająco powtarzały się w twarzy jój syna. Nie wydawała się wcale schorowaną, ani niedołążną, tylko trochę niezadowoloną. Siedziała właśnie przy otwartym do gry stoliku, od którego powstał był pan Józef, a przy którym siedzieli téż przyjaciele domu. Niecierpliwiła się widocznie przerwą, zaszła w ulubioną zabawie. Przytém jednak rozmawiała ciągle z siedzącymi przy niój przyjaciółkami, którym już nie przypatrywałam się, bo znałam je dobrze. Słyszałam tylko, że pani Skwierska, czterdziestoletnia wdowa po urzędniku, babina nieposzlakowanej cnoty i wielkiej wymowy, z gestykulacją i mimiką, której-by jój niejeden z mówców wielkiej szkoły pozazdrościł, powtarzała co do słowa prawie przeszlondzielne kazanie księdza Hajdeckiego w farze.

Ludwik Okimski za to, tłusciutki, malutki i wygolony obywatel miejski, na całe miasto słynny z nieocenionego dowcipu i humoru swego, posługiwał się wakującymi kartami od preferansu dla dokonywania z ich pomocą różnych sztuk, czarodziejstw prawie graniczących. Karty, w obu rękach trzymane, za plecy swe chowając, albo też je ze zręcznością niesłychaną na stole rozkładając i mieszając, zwracał się przedewszystkiem do panny Michaliny Olińskiej, której pyszne i pysznie uczesane złociste włosy przyozdabiały twarz trzydziestokilkuletnią, ładną niegdyś, teraz mocno przywiedłą i wyrazem doznanych zawodów nacechowaną. Zawody te nie przeszkadzały przecież błękitnym oczom jej z niesłychanym zajęciem topić się w pulchną, wygoloną a wesołą twarz miejskiego obywatela.

Dwaj gimnazyści za to, z których jeden był dzieckiem jeszcze, drugi dorosłym prawie młodzieńcem, nie doświadczali na widok sztuk karłowych żadnych uczuć innych, prócz najwyższej żądzy zbadania i zdobycia wszystkich ich tajemnic. Z ust ich sypał się grad pytań i prośb tak ogłuszających, że aż Aloizy Choimski, chudy i łysy ex-profesor, w starym profesorskim mundurze, ze złożonymi guzami, u okna siedzący, a w czytaniu gazety zatopiony, sykał z gniewu i gazetą swą z przeraźliwym szelestem co chwila ku wrzaskliwej grupie powiewał.

Szelesty te drażniły snadź nerwy niemłodej, bladej i widocznie bardzo dobrej Anny Liniewskiej, ciotki, która, w wyszywaniu włóczkami siatkowej serwety pogrążona, podnosiła od chwili do chwili głowę i z kolei sykała na pana Aloizego. Ile razy zaś syknęła tyle razy pan Aloizy, z rozczulonym prawie wyrazem twarzy, pochylał się ku niej i na przeprosiny rękę jej, zaopatrzoną w długą igłę całował; co też ją, aż do nowego szelestu gazety, najzupełniej rozbierało. Głębszą i trwalszą snadź troską jej było dobieranie kolorów włóczek, któremi serwetę swą wyszywała; bo nagle podniosła głowę, w trochę jeszcze zalotny czepeczek ustrojona i, z rozpaczliwym załamaniem rąk, zawołała:

— Moja pani Zuzanno, proszę mi poradzić! już ja doprawdy nie wiem, jaką tu różę zrobić: różową czy żółtą?

W mgnieniu oka, po zapytaniu tém, całe towarzystwo, nie wyłączając staruszki a z wyjątkiem tylko ex-profesora, podzieliło się na obozy różowej i żółtej róży. Okimski, gimnazyści, nawet milcząca dotąd i melancholijnie na różowe pończoszki swe spoglądająca piękna panna Emilia, udzielali rad swych i wydawali zdania. Teraz nawet panna Emilia mówiła najgłośniej i z największym zapałem, nie dlatego zapewne, aby była żarliwą miłośnicą robót ręcznych, ale, że, gdy szło o rzeczy gustu, zdaniu jej należało się bezwzględne pierwszeństwo. Dobry gust był specjalnością jej; świadczyły o tém malownicze draperie sukni i różowe pończoszki. W gwarze tym, przez zagadnienie pani Anny wywołanym, zadzwonił jękliwy, do tonu bolesnej skargi podniesiony, głos staruszki:

— Dlaczego kawy nie dają?

— Felci niema — odpowiedziały chórem wszystkie prawie głosy.

— Ależ dlaczego ona tak długo nie przychodzi?

— Może poszła na przechadzkę?

— W porę, bardzo w porę!

— Może zobaczyła jaki piękny widok natury! ona tak kocha naturę!

— I zapomniała o nas i o naszej kawie.

— Pani Felicja dziś źle wygląda. Może cierpiąca...

— A któż jej winien? czytuje po nocach, to potem źle wygląda. Ja zawsze mówię, że dla kobiety wszystkie te mądrości...

— Do... do... don... ka... ka... karlos bi... bije się! — zrywając się z krzesła, zawołał nagle pan Aloizy. — Zno... znowu bi... b... b...

W tém otworzyły się drzwi i wszedł do salonu znany mi trochę, młody urzędnik z gubernatorskiego czy jakiegoś innego biura. Był to chłopak przystojny, dobrze ułożony, z wykształceniem umysłowym małym, ale wielkimi potrzebami serca, bo cechą przeważnie go charakteryzującą było nieustanne kochanie się w jakiejś pani, czy pannie. Zbyt ubogi jeszcze, aby mógł ożenić się, składał ofiary na ołtarzach wszystkich piękności Ongrodu. Przytém oprócz pań i panien kochał on jeszcze poezyą i odznaczał się zarówno wielką pamięcią, jak wcale niezwykłym darem do deklamacyi, a w rozmowie — kwiecistością stylu. Wszystkie te przymioty jednały mu pośród pań wysoki stopień szacunku i sympatyi. Objawiło się to i teraz, gdy wejście Teofila Siekierskiego sprawiło w salonie

Olińskich wrażenie wielkie. Najżywiej uległa mu panna Emilia, co zresztą było zupełnie słusznym, gdyż spojrzenie czarnych oczu Teofila naprzód ku niej strzeliło, ale i panna Michalina wydawała się także zelektryzowaną nieco i z żywością, która odmłodziła zwiędłą jej twarz, zawołała, że teraz, kiedy pan Teofil przyszedł, trzeba zaraz zacząć grać w karty w *balamuta*, bo już z góry wiadomo, kto w czepku siedzieć będzie. Pokazało się jednak, że bez Felci ani w karty grać, ani kawy pić niepodobna. Dom cały, ze wszystkimi swymi wygodami i przyjemnościami, w nieobecności jej, był jakby sparaliżowany. Znowu więc rozległy się wołania i wyrzekania.

— Gdzież jest Felcia? Dlaczego tak długo w mieście bawi?

Skończyłam rozmowę moją o interesie z gospodarzem domu, a gdybym nawet nie skończyła jej była, udała-bym, że nic już więcej do powiedzenia nie mam, tak bardzo wyraźnie poobiednia drzemka zasnuwała mgłą łagodne jego oczy, taki wyraz ciężkiej z nią walki okrywał dobrą i pocziwą twarz jego. Spać mu się chciało okropnie, a jednak uprzęymym być nie przestał. Zapraszał mię na kawę, które-to zaproszenie powtórzyły też matka, ciotka, siostra i córka jego; a gdy stanowczo odchodziłam, wszyscy razem wymogli na mnie przyrzeczenie, że przynajmniej innego dnia, jak najprędzej, dom ich na dłużej odwiedzę. Potem pan Józef odprowadził mię aż do drzwi przedpokoju, a gdy starszy syn jego z grzecznym pośpiechem podawał mi okrycie, on jeszcze, pomimo senności, która mocno utrudniała mu mowę, udzielał mi rad i upewnień, tyjących się interesu mego, a świadczących zarówno o prawości charakteru, jak o dobroci jego serca.

Mieszkanie Olińskich znajdowało się na drugim piętrze jednej z kamienic miasta. Zstępując ze schodów, zobaczyłam poniżej siebie u jednego z zakrętów ich stojącą kobietę, której postawa uderzyła mię i nawet trochę zadziwiła. Była to kobieta wysmukła, bardzo kształtna, w ciemnym okryciu i czarnym kapeluszu, z pod którego widać było gruby warkocz, kasztanowatej barwy, z ognistym połyskiem. Stała nieruchoma zupełnie, z łokciem opartym o balustradę schodów, z kibicią na przód nieco podaną i twarzą na dłoni wspartą. Postawa ta była wymowną. Wyrażała ona znużenie i zadumę. Stała tak i w ten sposób wspierała się na ręce, że z twarzy jej widziałam tylko część białego czoła i oczy duże, ciemnoszafirowe, powieką na-pół spuszczoną przysłonięte, a smutnie, okropnie smutnie w dół zapatrzone. Nie słyszała zrazu zbliżających się ku niej kroków moich. Ja też przez chwilę przypatrywałam się jej ciekawie. Domyśliłam się, kim była, bo w drugiej ręce, bezwładnie spuszczonej, trzymała spory, zamknięty koszyk, zawierający pewnie ciastka do kawy. Oto dlaczego nie wracała tak długo i tak nie w porę bawiła za domem. Ale co pochwyciło ją tu i zatrzymało? Zmęczenie, o chwilę spoczynku wołające? czy marzenie natrętne i nieodeginalne? czy silniejszy nad siły jej moment żalości lub walki? Wszystko to razem malowało się w postawie i wyrazie jej oczu. Usłyszała nakoniec kroki moje, porwała się, jak ze snu zbudzona, i wbiegła na schody tak szybko, że przed oczyma memi zaledwie mignął biały, delikatny, kameowy profil jej twarzy.

Znalazłszy się na ulicy o kilkaset kroków, oddaliłam się od mieszkania Olińskich, gdy z dala już poznałam idącego naprzeciw mnie Adama Tarnickiego. Z dala nawet nie poznać go było niepodobieństwem, bo pełna siły i spokoju postawa, myślące i nieco dumne czoło, a tak w kroku jak i poruszeniach jakaś nieuchwytna dostojność, która piętnuje powierzchowność wysoce ucywilizowanego człowieka, wyróżniały go pośród tłumu nie tylko ulicznego, ale i wszelkiego innego.

Gdybyśmy naturę na obraz i podobieństwo swoje pojmowali, mniemać moglibyśmy, że, jak my, doświadcza ona przystępów dobrego i złego humoru, chwil wezbranej i energicznej, lub znużonej i niedołączonej twórczości. Gdybym naturę pojmowała w sposób powyższy, mniemała-bym, że Adama Tarnickiego stworzyła ona w przystępie wielkiej dobroci i pięknego natchnienia. Była to pewnie jedna z najwyborniejszych i najkompletniejszych organizacyi ludzkich na ziemi. Rolnik z zawodu, był on zarówno czcicielem jak znawcą nauki, a na dnie piersi swój nosił iskrę poezyi i entuzjazmu, która była przyczyną wielu jego i cnót i cierpień. Żartując niby, mówiłam mu zawsze, iż ciężki grzech popelnia, nie rozpalając tak długo rodzinnego ogniska, po prostu, nie żeniąc się. Wkrótce dosięgnie lat czterdziestu, kiedyż potem będzie mógł nasycić się ciepłem tego ogniska? Kiedy dla społeczeństwa wyhoduje podobnego do siebie syna? Kiedyż nakoniec uszczęśliwi istotę jaką, do płci nieszczęśliwej należącą? Na to wszystko odpowiadał mi niekiedy żartem także, częściej jednak poważnemi a trochę smutnemi słowy:

— Nie znalazłem. Nie widziałem. Nie znam.

Nie znalazł, nie zobaczył, nie poznał kobiety takiej, która-by odpowiadała potrzebom i serca i umysłu jego. Niestety! nie żył on tylko sercem, a najszcześliwiej żyć tylko sercem; skoro się bowiem w dodatku i głową jeszcze żyje, wnet i serce to dziwnych, licznych a bardzo despotycznych nabiera wymagań. Od pewnego czasu jednak zauważyłam, że przedmiot ten rozmowy począł Tarnickiemu sprawiać przykrość. Przestałam też go w rozmowach dotykać i tylko w samotności ducha zapytywałam siebie: czyżby nakoniec znalazł, zobaczył, poznał?

Powitaliśmy się, jak zwykle bywało, po przyjacielsku i serdecznie. Powiedziałam mu zaraz, że idę od Olińskich.

— A ja do nich, — odpowiedział.

Nie słyszałam nigdy o tém, że znał rodzinę tę. Powiedział mi, że znał ją od roku, a odwiedzał z razu bardzo często, potem rzadziej, zawsze jednak, ilekroć był w mieście, co parę tygodni więc, czasem co tydzień. Nagle błysnęła mi w myśli uwaga, że od czasu pewnego p. Adam bywał w Ongrodzie częściej, niż dawniej. Nie wypowiedziałam jęj jednak, natomiast opowiadałam dość długo o tém, w jaki sposób przelotnie zobaczyłam dziś p. Felicyą Olińską, co odgadywałam z postawy jęj i wejrzenia, jak dziewczyną wydała mi się jęj kibić, a czystą, delikatną i trochę tylko znużoną linia jęj profilu.

Pan Adam milczał. Szedł chodnikiem obok mnie, a gdy podniosłam ku niemu głowę, zobaczyłam, że twarz jego była w szczególny sposób zmaczoną. Niepodobna inaczej określić zmian, które zaszły w nięj, jak przez wyraz: zmaczenie. Przypominała ona powierzchnią głębokiej wody, którą swawolna ręka zmaci rzuconym kamieniem. Powstają na nięj wtedy ruchy gwałtowne, pogłębiają się linie i tryskają światła, które, gdy dzień pochmurny a woda nie błękitna, ani przezroczysta, mają w sobie coś posępnego.

Dla różnych przyczyn bywałam potem u Olińskich bardzo często. Felicyą poznałam w czasie drugich tam moich odwiedzin. Ile lat miała wtedy, nie wiem dobrze. Nie musiała być bardzo młodziutką, gdyż od lat już dziesięciu była zamężną, a jednak nie myliłam się, mówiąc p. Adamowi, że kibić jęj i wszystkie poruszenia posiadały uderzające piętno dziewiczości. Widząc ją z dala, jak w skromnej sukni i gospodarskim fartuszku, z włosami gładko uczesanymi, a z tyłu głowy zwiniętymi w jeden połyskujący warkocz, chodziła po pokojach mieszkania, czynna, wszystkim usługująca, żywa i lekka, można ją było wziąć za młodziutką córkę domu, pannę, która nie dosięgła jeszcze dwudziestu wiosen życia. Młodość ta — a najdokładniej — dziewiczość jęj postaci wynikała może tak z wielkiej prostoty i skromności ubioru i układu, jak z delikatności i doskonałej harmonii kształtów. Profil jęj twarzy, delikatny, czysto grecki, z linią nosa prostopadle od czoła spływającą i łagodnym wygięciem różowych ust, nadawały jęj także pozór piérwszej młodości. I wtedy dopiéro, gdy się na nią prosto, twarzą w twarz spojrzęło, objawiała się w nięj nie dziewica już, ale kobieta, kobieta, której piękne czoło nie miało atlasowej gładkości liliowego liścia, ani oczy podłużne, z wielką szafirową źrenicą, spokojnych błękitów wiosny; owszem, cera jęj bardzo biała z natury, zmęczoną trochę była i zbladła, a w spojrzeniu przeciąglém, przenikliwém, z gorącemi blaskami na dnie, zdradzało się upalne południe życia, pełnia uczuć zarówno, jak myśli. Najpiękniejszą była wtedy, gdy mówiła lub śmiała się, bo głos jęj był dźwięczny i elastyczny, gra fizjonomii żywą, a zapal lub wesołość krzesęły w jęj oczach prawdziwe ogniska iskier.

Śmiała się właśnie, gdy do salonu Olińskich wchodziłam, i z drugiego pokoju słyszałam już perłowe, krótkie gamy jęj śmiechu. Przyczyną wesołości jęj był dwunastoletni Mieczysław, który pochwycił ją pośrodku salonu i, niosąc tęcę ze szklankami pełnemi kawy, ścisnął ją i całował z wielkiém dla niesionych przedmiotów niebezpieczeństwem. Złękła się snadź o swoję kawę staruszka matka, bo zwykłym sobie głosem, do tonu bolesnej skargi podniesionym zawołała:

— Ty bo, Felciu, tego dzieciaka tak rozpieściłaś, że momentu spokojności...

— Bo Felcia, mamó, chce go według mądręj jakiejś metody wychowywać, — przewiała p. Michalina ze skośném i błyszczącém na bratową spojrzeniem.

Śmiech Felicyi umilkł, niby szmer pereł, nagle rozerwany. Usunęła dziecko od siebie i, postawiwszy tęcę na stole, zaczęła roznosić szklanki z kawą. W tęcę chwili spostrzeżono wejście moje i ogłuszono mię formalnie powitalnemi wykrzykami. Radość z przybycia

gościa bywała tam zawsze taką, jak gdyby naprawdę i za każdym razem sprowadzał on z sobą do domu Boga. Pan Józef, który powstał był od preferansowego stolika, przedstawił mi żonę swoją. Uścisnęła mi rękę ciepło, serdecznie, popatrzała na mnie swém przeciąglém, błyszczącym spojrzeniem i znowu kawę roznosić zaczęła. Służby, rodzina liczna i choć zamożna, ale nie bogata, posiadała snadź niewiele.

Geografia i topografia salonu były w chwili téj następującemi: W samém centrum królował stolik kartowy, przy którym siedzieli: gospodarz domu, matka jego i pani Skwierska. Grano tu we troje, bo Ludwik Okimski wyemigrował ku podłużnemu stołowi, umieszczonemu pomiędzy kanapą a fotelami, na których siedziały panny Michalina i Emilia, dwaj gimnazyści i p. Teofil Siekierski; każda z tych osób trzymała w ręku karty i wraz z innemi grała w „bałamuta.”

U okna, z twarzą zasłoniętą arkuszem gazety, siedział wuj, ex-profesor, a o parę kroków od niego ciotka Liniewska wyszywała na siatkowej serwecie żółtą czy czerwoną różę.

Przybycie moje przerwało znowu zwykłą snadź poobiednią zabawę, a gdy, usiadłszy obok staruszki, słuchałam opowiadania jéj o nadzwyczajnej skuteczności lukrecyi przeciw kaszlowi i dowodzeń pani Skwierskiej o niezaprzeczonej wyższości nad lukrecyą owianego cukru, przy podłużnym stole przed kanapą Okimski pokazywać zaczął pannie Michalinie sztukę, nie z kartami już, ale z nożami dokonywaną, gimnazyści, przechyleni nad stołem, odbywali nad tą sztuką żarliwe i głośne studia, a pan Teofil półgłosem deklamował pannie Emilii, wyczytany w któremś z pism peryodycznych, najświeższy wiersz o sercu, które pękło. Przytém odbywało się ogólne a zawzięte picie, czyli jedzenie kawy. Na każdym ze stołów Felicya umieściła kosze, piętrzące się różnego rodzaju pieczywem, i garnuszki śmietanki, żółtymi kożuchami przyobleczonéj. Wszystkie ręce poruszały się około szklanek, koszyków i garnuszków, wszystkie szczęki poruszały się także, nie przeskadzając bynajmniej poruszaniu się języków. Jedzono tyle prawie, ile mówiono. Przy podłużnym stole śmiano się téż ze sztuk Okimskiego, a ze śmiechem tym spletała się tylko jedna rzewna nuta, nuta o sercu, które pękło, przytłumiona trochę jedzeniem, napełniającém usta opiewającego je barda.

Po długich prośbach moich, a energicznych protestacyach zbiorowój strony przeciwnéj, towarzystwo zgodziło się na kontynuowanie zabawy swéj, czyli na dalsze granie w karty. W téjże chwili Felicya stanęła przy mnie i giestem wskazała mi na stronie stojącą kanapkę. Przedmiot do rozmowy nastęrczał się sam przez się. Miałyśmy wspólnego znajomego. Siadając obok mnie, zaczęła:

— Bardzo pragnęłam poznać panią. Od pana Tarnickiego słyszałam o pani wiele... Jest on szczerym pani przyjacielem.

Mówiła to uprzejmie, wielkimi swemi głębokimi żrenicami śmiało i spokojnie w twarz mi patrząc. Powiedziałam jéj, że pan Adam jest jednym z ludzi, których przyjaźń nie tylko cieszy, ale i zaszczycza.

— Pani wieśz o tém zapewne lepiej i dokładniej ode mnie, — odpowiedziała. Rada, że dobrze mówić mogłam o przyjacielu moim, opowiadać zaczęłam o znanych mi zblizka, a przez Tarnickiego dokonywanych, usiłowaniach podniesienia skali tak rolnictwa krajowego, jak bytu i moralności wiejskiego ludu; o wytrwałości, z jaką głosił on i szerzył naukowe i społeczne przekonania swe, wbrew spotykającym go za to licznym przykrościom i stratom; o domu jego, który dla dość szerokiej przestrzeni i znacznej liczby ludzi jedyném był ogniskiem oświaty, postępu, zachęty...

Mówiąc o tém wszystkiém, spostrzegłam, że im dłużej mówiłam, tém więcej cera, postawa i wzrok słuchającej mię kobiety ożywiały się i nabierały wyrazu zdradzającego doznawane uczucia szczęścia i dumy. Opowiadanie moje czyniło ją najwyraźniej szczęśliwą i dumną. Policzki jéj opłynęły bladym rumieńcem, oczy zajaśniały pogodném światłem. Mimowolnym ruchem podnosząc głowę, a kształtne, suche, nerwowe ręce z entuzjastyczną radością spletając, zawołała:

— O pani! jakie to szczęście, że są w świecie ludzie tacy...

Prędko jednak i z widoczną wprawą w powściąganii wzruszeń, zawiadnęła entuzjazmem swym i spokojnie znowu rzekła:

— Wiedziałam o tém wszystkiém i wprzódy, tylko nie tak dokładnie. Nigdy z nim o niczém podobném nie rozmawiam. Ja panu Tarnickiemu także wiele zawdzięczam.

Widujemy się rzadko i mówimy z sobą bardzo mało, jednak rozmowy z nim i książki, których mi pożycza, otworzyły mi oczy na wiele rzeczy... chociaż...

Zamyśliła się i po chwili, ze wzrokiem utkwionym w ziemię, ciszej dodała:

— Chociaż ja nie wiem, czy jest dobrodziejstwem, czy komuś otwierać...

— Byłaż-byś pani zwolenniczką świętego ubóstwa w duchu? — zapytałam.

— Nie, — odpowiedziała prędko, — najpewniej nie. Myślę owszem, że bogaci w duchu, to jest ci, którzy wiele czują, wiedzą, i myślą, są kwiatem ludzkości, może nawet całą ludzkością; tylko...

Podniosła głowę i z uśmiechem dokończyła:

— Tylko, zdaje mi się także, iż najszcześniejszymi pod słońcem są — niemowlęta. Ani obowiązków, ani sumienia, ani walki, zupełna obojętność na wszystko, co nie jest niemi, kompletna niewiedza. Przynajmniej są przy nich ramiona jakiegoś, które ogarniają je, kołyszą i tulą...

Głos jej zdrzał trochę, ale jednocześnie zaśmiała się prawie głośno.

— Oskarżysz mnie pani pewnie o zaprzeczanie samej sobie. To prawda. Pełno jest zawsze sprzeczności w ludzkich sądach i żądaniach. Tym razem jednak zdołam może pogodzić dwa moje sprzeczne z pozoru zdania. Godność osobista człowieka i szczęście jego, to przecie rzeczy o wiele różne. Otóż, zdaje mi się, że bogaci w duchu są najdostojniejsi, a ubodzy najszcześniejsi. Nie prawdaż, pani?

Chciałam odpowiedzieć, ale od strony preferansowego stolika ozwał się donośny i skarżący się głos staruszki:

— Felciu! pani Skwierska kawy nie ma...

Powstała szybko i, skinieniem głowy przeprasząc mnie za to, że się oddaliła, wybiegła z salonu. W tejże chwili, przy podłużnym stole przed kanapą, powstał gwar i hałas nieopisany. Partya *bałamuta* została skończoną; karta, schodząca się do pary z tą, która pod pudełkiem z cygarami schowaną była, znajdowała się w pulchnym ręku Okimskiego. Włożono mu na głowę czepkę białą z szerokim garniowaniem. Stojem tym przyzodziła go własnoręcznie panna Michalina, za co złożył on na jej dłoni przelotny pocałunek, poczem, w dowód jakby, że umiał bohatercko znosić nieszczęście, splótł ręce i z odpowiednimi poruszeniami ciała i rysów twarzy pokazywać począł, jak baby żebraczki w kruchcie kościelnej odmawiają pacierze. Naśladował wespół pijaną babę — tak wybornie, że nawet osoby, grające w preferansa, grać przestały i zaczęły się mu przypatrywać, a pan Józef, zwracając się do mnie, z serdecznym rozweseleniem zawołał:

— Cóż to za nieoceniony komik z tego naszego pana Ludwika!

— Nie... nie o... o... oce... ceceniony! — wykrzyknął u okna ex-profesor, którego wyborne naśladowanie modlącej się żebraczki z horyzontu europejskiej polityki pomiędzy uciechy rodzinne ściągnęło. Odezwanie się to jego wywołało pomysł do uciechy nowiej. Okimski zerwał się z krzesła.

— Panie profesorze! prosimy do *bałamuta*!

— Prosimy wujaszku, prosimy! Wujaszek pewnie po panu Ludwiku czepkę odziedziczył!

— A na... na... turalnie! ja ba... ba... ba... łamut taki!

— Felcia dziś nie gra z nami i tak nas mało...

Gromadnie opadnięto profesora i ciągnięto go ku stołowi za ręce i poły starego mundura. Widząc to zdesperowane położenie starego przyjaciela swego, ciotka Liniewska postanowiła je z nim podzielić. Energicznym ruchem zrzuciła z kolan swych siatki i włóczki i powstała.

— Poczekajcież, — rzekła, — kiedyś za młodu byłam trochę *bałamutką*, może też i na starość być nią potrafię... dajcie mi krzesło...

Radość z pociągnięcia dwojga starych przyjaciół do gry w *bałamuta* była wielką i powszechną. Posadzono ich obok i zaraz zawołano, że wujaszek i ciocia wyglądają teraz, jak pan pastor i pani pastorowa.

— Grajmy w pastora i pastorową; ja nadzwyczaj lubię pastorów! — zawołała panna Michalina z ognistym wejrzeniem na Okimskiego, który był podobno wyznawcą religii reformowanej.

Pomyślano i spełniono. W mgnieniu oka *bałamut* zamienił się w pana pastora i panią pastorową.

Felicya przyniosła kawę dla pani Skwierskiej, za nią zaś służąca wniosła i na stołach umieściła koszyki z owocami, jakoteż stopy deserowych talerzy i nożów.

— O jakie śliczne jabłuszka! — zawołał pan Józef, — nie myślałem, żeby takie piękne owoce można było jeszcze w tej porze znaleźć. Ale czego to moja Felcia nie znajdzie.

Ponieważ w tej chwili właśnie stała obok niego, dla matki pomarańczę obierając, pocałował ją w rękę.

— Już to, — ozwała się pani Skwierska, — takiego dobrego męża, jak pan Józef, trudno znaleźć. Za wszystko żonie tak pięknie i grzecznie dziękuje...

— Felciu! stołeczek pod nogi! — poskarżyła się staruszka.

Przyniosła matce stołeczek pod nogi i wróciła do mnie. Ja także po wypiciu kawy jadłam owoce. Od owoców rozmowa bardzo łatwo stoczyła się ku wsi. Dowiedziałam się, że Felicya urodzona i wychowana była na wsi.

— Wiem o tym, — mówiła, — że wielkie miasta są bardzo potrzebne na świecie i mogą też być bardzo wesołe. Po co jednak Pan Bóg kazał historii stwarzać małe miasteczka? nie rozumiem.

— W rodzinnej wiosce mojej, — opowiadała mi po chwili, — pamiętam miejsce jedno, które szczególnie kochałam. Była to łąka, nic, tylko łąka, trochę niska, z trawą bardzo zawsze zieloną i kępami różowej koniczyny... W jednym miejscu rosła tam...

— Felciu! wiesz co? żeby to trochę tej ratafijki... co to wiesz! Może i pani dobrodziejka amatorka... leciuchna!

Nie wiem dlaczego, dość głośno brzęknęła kluczykami, obciążającymi kieszeń jej fartuszka. Wstała i wyszła. Po chwili wróciła ze służącą, która niosła na tacy ratafią i kieliszki. Nalała trunek do kieliszków, rozdała je tym, którzy grali w preferansa i pastorową. Staruszka ratafię nie piła i kazała sobie podać pudełeczko z lukrecją. Przyniosła pudełeczko. Mąż pocałował ją znowu w rękę. Wróciła do kanapki naszej i siadając tak, jakby opowiadania, a przynajmniej myślenia jej o wiosce rodzinnej, nic wcale nie przerwało, mówić zaczęła:

— Rosła tam grupa bardzo starych olch, wśród których w letnie południe było tak cicho, jak pod samym niebem. Tylko te żółte wilgi gwizdały. I teraz jeszcze, kiedy zamknę oczy, widzę czasem pod powieką starą, krzywą olchę, i zdaje mi się, że słyszę gwizdanie wilgi... Czy pani doświadczasz kiedy hallunacyi takich? Ja bardzo często, najczęściej wtedy, kiedy jestem zmęczoną. Dość mi zamknąć powieki, aby przesuwały się przede mną różne obrazy i twarze... prędko, prędko zjawiają się i nikną, ale czasem twarz jakaś zjawi się tak wyraźnie, stoi przede mną tak długo...

W salonie robiło się szaro i cicho. Przy preferansowym stoliku gospodarz domu i matka jego usnęli, a raczej zadrzemali, na tych samych krzesłach i w tych samych prawie postawach, w jakich grali w preferansa. Staruszka trzymała nawet jeszcze rozpostarte w wachlarz karty, które jednak stopniowo wypadały z jej palców. Karty pana Józefa rozsypały się już dawno na kolana jego i podłogę, chrapał z lekka. Pani Skwierska i gimnazyaści zniknęli, a po kątach salonu słychać było przytłumione szepty. Ciotka i wuj szepotali pomiędzy sobą o dobrych, dawnych czasach; panna Michalina i pan Okimski o tym, co kawalera, który minął już czterdziestkę, swata i żeni: serce, ludzie czy dyabeł? Panna Emilia i pan Teofil o tym, czy miłość nieodwzajemniona zabija, czy nie zabija? Na te cztery pary ludzkie, jako też na stoły, pełne rozrzuconych kart, wypróżnionych szklanek, kieliszków, garnuszków, okruch z ciast, łupin od owoców i zbrudzonych noży, opuszczał się szary woal, utkany z dymu cygar i papierosów i napływającego przez trzy wielkie okna zmroku.

— Czy pani widziałaś kiedy wieś, w której mieszka pan Tarnicki? — zapytała mię z cicha siedząca obok mnie kobieta.

Nie czekając odpowiedzi mojej, pytała dalej:

— Czy nie doświadczasz pani tego, że pragniemy znać miejsca, w których żyją ludzie, będący dla nas czémś więcej nad te sekundy, które tak monotownie, jednostajnie wydzwania zegar ten?

Nie zaraz odpowiedziałam. Mimowoli wsłuchałam się w metaliczny tentent stojącego w rogu salonu zegara. Ona słuchała go także.

— Czy zrozumiesz to pani, — zapytała jeszcze, — że można mieć w sercu jakąś smutną radość, która o szarej godzinie, gdy ciszej trochę koło nas i nic do robienia nie mamy, wije się pomiędzy sekundami temi, jak złota nitka?

Jeden z humorystów naszych dowcipnie się wyraził, że ktoby chciał zacność bohatera jego przenieść na inne miejsce świata, musiał-by w celu tym wynająć oddzielny wagon towarowy — tak wielką była ona. Myślałam też nieraz, że dla przewiezienia zacności rodziny Olińskich trzeba-by było oddzielnego a długiego pociągu — tak jój było wiele. Nie myliłam się, z pierwszego rzutu oka wnosząc, że pani Franciszka Olińska była dobrą i bogobojną matroną. Dowiedziałam się potem, że długie życie jój przedstawiało kroplą rosy, na której osiadło trochę zaledwie powszednich pyłków. Była ona naprzód córką, potem żoną, potem matką, potem babką; wszystkie czynności, do związków tych przywiązane, spełniała prawidłowo; wszystkich swoich kochała dostatecznie, i wszyscy swoi dostatecznie ją kochali; nie doświadczyła katastrofy żadnej, moralnej ani materyjalnej; i teraz także, mieszkając przy synie, utrzymywała się z funduszów własnych, niewielkich, ale dostatecznych.

Cóż mówić o synie jój, panu Józefie? Był on wszechstronnie do niej podobnym. Też rysy pospolite, ale przyjemne, też czystość życia i zupełna prawidłowość uczuć. Nie skrzywdził nigdy nikogo, a chętnie wszystkim drobne wyświadczał przysługi; każdej soboty rozdawał ubogim rozmienionego na grosze rubla, a zupełne zadowolenie z bytu i położenia, które się mu dostały w udziale, czyniły go łagodnym i wesołym. Wprawdzie, widziałam parę razy, że, pod wpływem drobnej troski lub przykrości, targał się on w zniecierpliwieniu swém, jak więzień w przeraźliwie dzwoniących kajdanach. Albo czasem płakał trochę. Że jednak drobne nawet troski i przykrości dotykały go rzadko, normalnym jego stanem była wesoła dobroć.

Okolo cnót i zalet dwu tych głównych w rodzinie osób grupowały się cnoty i zalety innych członków rodziny. Najbardziej rozczulała mię zawsze przyjaźń i cześć, okazywana przez ex-profesora Choimskiego łagodnej, a bardzo podobno ubogiej, ciotce Liniewskiej. W objawach tych było wiele delikatności i dobroci serca, bo pochodziły one przeważnie ze względu na ubóstwo właśnie i najtrudniejszą ze wszystkich pozycją Liniewskiej w domu Olińskich. Ona była mu za to szczerze wdzięczną, co także coś na tym świecie znaczy, i zdaje mi się nawet, że para ta kochała się trochę czulszém, niż przyjaźń, uczuciem. Nie mogłam też nigdy obronić się od myśli, że gazetowa mania pana Aloizego miała źródło swe w szlachetnej ciekawości, którą obudzały w nim losy świata, i że mania do robót ręcznych pani Liniewskiej pochodziła ze szlachetnej chęci przysłużenia się czémkolwiek domowi, któremu byt swój zawdzięczała. Chęci przysługiwania się komukolwiek czémkolwiek dwie panny: Michalina i Emilia, nie doświadczały wprawdzie w stopniu najmniejszym; w zamian jednak nie pragnęły też one szkodzić nikomu i niczemu, co także coś na tym świecie znaczy. Pragnęły one tylko podobać się i wyjść za mąż, a tymczasem mózdz bez przeszkody przesiadywać na kanapkach, szezlongach i fotelach, z jednych na drugie przenosząc się, stosownie do postawy ciała, jaką przybrać chciały. Niepodobna też zaprzeczyć, że codzienne rozrywki i przyjemności rodziny tej były całkiem niewinnemi, i najgorsza chyba wola mogła-by upatrzeć w nich cokolwiek występnego, lub choć-by szkodliwego.

Cóż występnego, co szkodliwego zawierać się mogło w spaniu, ubieraniu się, piciu i jedzeniu do pory obiadowej? co w preferansie, *bałamucie*, sztukach z kartami i nożami, w deklamacyi o pękających sercach, w sprzeczkach o żółtą i czerwoną różę, które zapełniały porę poobiednią? W picciu, jedzeniu i gawędzeniu, na których schodziły wieczory? Przyjaciele dostrajali się do tonu rodziny, z którą się przyjaźnili. Nie istniała pomiędzy nimi ani jedna dusza, która-by jakimkolwiek grzechem śmiertelnym zmazaną była. Płotek nawet żadnych z sobą nie przynosili i nikomu tam nigdy potępienie kogokolwiek lub czegokolwiek do głowy nie przyszło, dla tej choćby racyi, że żadne zgoła sądy o czémkolwiek, po za ścianami domu ich dziejącem się, w myśli ich nie powstały.

Spokojni ci i zacni ludzie, nie wydając sami sądów żadnych o nikim i niczém, nie zdołali jednak uniknąć różnych zdań, o nich wydawanych. Dnia pewnego młody Teofil Siekierski, spotkawszy mię, rzekł:

— Czy pani uważa, jak u tych państwa Olińskich nic ducha niéma?

Było to określenie dość trafne i oryginalnie wyrażone. Dla wypróbowania jednak tej sumy ducha, zawierającej się w panu Teofilu zapytałam:

— A panna Emilia?

— O pani! — zawołał, — to jedyna pomiędzy nimi osoba z wyższym polotem.

— Jak-to! — ponowiłam, — a pani Felicja? Jest ona przecie bardzo przystojna?

— I nie tak przystojna, i nie tak młoda, jak panna Emilia, — odpowiedział poszukiwacz ducha i zwolennik polotów.

Inaczej nieco określił ich Adam Tarnicki, gdy raz opuszczaliśmy jednocześnie mieszkanie Olińskich.

— Patrząc na tych ludzi, — rzekł, — czy nie odgadujesz pani jednej z przeważnych przyczyn smutnego ekonomicznego stanu, któremu kraj nasz podlega?

— Dość mi będzie, — odpowiedziałam, — jeśli odgadnę ekonomiczną tajemnicę jednego tego domu. Taka nieproporcjonalność produkcji i konsumpcji... nie rozumiem.

— Niestety! — westchnął pan Adam, — ja zrozumiałem, wytłómaczyło mi ją jedno z najsmutniejszych zjawisk świata tego...

— Jakież mianowicie?

— Inteligencji, zostającej w służbie u...

Stanął nagle i wyciągnął do mnie rękę na pożegnanie. Zdawało mi się, że oczy gniewnie mu błysnęły.

— To prawda! — zawołałam, — pani Felicja jest inteligencją, która...

— Nie kończ pani, — przerwał prawie gwałtownie, — i o przedmiocie tym nie mówmy nigdy. Bywają uczucia i myśli, których słowami dotykać nie trzeba, bo, jak struny targnięte, rozśpiewać się mogą, a milczyć powinny.

— Trudne milczenie, — rzekłam.

— Nie bolój pani nad niem, lecz korzystaj raczej ze sposobności przypatrzenia się trudnemu życiu.

Istotnie, było to życie trudne we wszystkich sekundach, które nieustannie, jednostajnie wydzwaniał dla niej, stojący w rogu salonu, zegar. Z razu, gdym patrzyła na nią, jak od wstania do położenia się liczyła, kupowała, uprzątała, oszczędzała, przybiegała, gdy ją wołano, podawała, czego żądano, grała w *balamuta*, a czasem i w preferansa, przypatrywała się sztukom, słuchała deklamacji, uczyła i moralizowała dwóch chłopców — bezowocnie, bo robotę jej psuła cała atmosfera domu; ze zdziwieniem zapytywałam siebie: jakim sposobem istota ludzka może tak całkowicie, tak absolutnie wyrzec się własnej woli?... potem jednak, gdym z bliska ją poznała i nauczyła się odgadywać każdy ruch rysów i błysk jej oczu, myślałam nieraz, że mieszka w niej wielka wola. Kiedy byliśmy już dobrze przyjaciółkami, powiedziała mi:

— Byłam sama na świecie i nie miałam nic i nikogo swego. Jest to rodzina moja, i cała racja bytu mego na świecie.

Niekiedy drgnięcie brwi lub kurczowem zaciśnięciu ust zdradzała z niecierpliwem poruszeniem wewnętrznym. Ale raz tylko, w jednej z chwil takich, siadając przy mnie, pół-głosem rzekła:

— Gdybym wierzyła w raj, myślała-bym, że tam ludzie nie piją i w *balamuta* nie grają.

— A w zamian? — żartobliwie zapytałam.

Zamyśliła się, potem prędko i z urywanym śmiechem odpowiedziała:

— Alboż ja wiem? Niechaj o raju opowiadają ci, którzy w nim kiedy byli...

Co ona miała swego i dla siebie? Czytywała niewiele: czasem z rana, pomiędzy wydawaniem obiadu a nalewaniem herbaty; czasem wieczorem, pomiędzy obiedniami jedzeniami i zabawami a wieczorną herbatą, najczęściej w nocy.

— Józef, — opowiadała mi, — nie bardzo lubi, kiedy ja czytam, a nie chcę za nic ani sprzeczać się z nim, ani go martwić; na szczęście, sypia on tak twardo i głęboko, że nie słyszał-by pewnie, choć-bym w napadzie serdecznego śmiechu obok niego umarła.

Dnia pewnego, wchodząc do domu, wyjątkowym sposobem opróżnionego z ludności swój, usłyszałam ją grającą na fortepianie. Widząc mnie wchodzącą, zawołała:

— Wszyscy poszli na nieszpory. Józef poprowadził do kościoła matkę, wuj ciotkę, pan Okimski Michalinę, a pan Teofil Emilkę. Pani Skwierska chciała, abym ja ją poprowadziła, ale odmówiłam stanowczo, i poszła solo. Gram!

Wprawę posiadała nie wielką, bo nie miała nigdy na to środków i czasu, żeby ją zdobyć; lecz w muzyce jój było piętno niepospolitego talentu i natchnienia. Była prawie artystką.

Adama Tarnickiego, w ciągu dwóch miesięcy, spotkałam u Olińskich tylko parę razy. Przychodził rzadko i na krótko, na jakąś godzinę zaledwie, a przynosił z sobą niby powiew, niby odbłask światów innych, od domu tego bardzo oddalonych. Naturalnie, mówił on tu zawsze o rzeczach zwykłych, prawie codziennych; ale po wiele razy już spostrzegłam, że rozmowa człowieka inteligentnego i oświeconego o deszczu i pogodzie więcej zająć i umysł orzeźwić może, niż rozprawa głupca o filozofii. Nikomu zaś nie tajno, że w pewnych położeniach ludzie inteligentni i oświeceni muszą mówić o deszczu i pogodzie, a pewnego gatunku głupcy lubią bardzo rozprawiać o filozofii.

Ilekróć wchodził do salonu, Felicya stała przez sekund kilka, jak przykuta do miejsca, na którym ją wejście jego znalazło. Potem przecież szła ku niemu prędko, a gdy na powitanie, ruchem serdecznym, podawała mu obie ręce, oczy jój, ku twarzy jego wzniesione, jaśniały szczęściem. On także, wchodząc tu, okazywał się tak wesołym, jakim go gdzieindziej nie widywałam nigdy. Trwało to przecież krótko. Gościa takiego, jak pan Adam, wszyscy czuli się obowiązany bawić, i bawili; głos Felicyi w chórze rozmów dawał się słyszeć najrzadziej, najdonośniejszą za to stawała się zająkliwa mowa Choimskiego, który polityczne swe hipotezy roztaczał przed panem Adamem, coraz dalej, w zapale dowodzeń, ku oknu salonu go uprowadzając.

Godzina cała upływała nieraz w sposób ten, że gościa i gospodynią domu rozdzielała cała przestrzeń salonu, i ani on, ani ona nie próbowali, zdaje się, że nawet nie chcieli zbliżyć się ku sobie. Tylko z jój twarzy szczęście, a z jego wesołość znikaly. Potem, przed samém odejściem swém, rozmawiał z nią pięć albo dziesięć minut, głośno, w obec wszystkich, o jakiejś książce, o jakimś utworze muzycznym, o sprawie jakiejś, toczącej się kędyś na jasnym bożym świecie. Do rozmowy téj obecni nie mieszały się nigdy, nie spostrzegali téż, jak przez chwilę dwie pary oczu patrzyły sobie w źrenice wprost i głęboko, i jak przechodziło na nie nagłe obudzenie. Felicya odwracała twarz i zaczynała mówić coś prędko i śmiać się, pan Adam brał kapelusz i odchodził. Przybywał potem znowu po długich tygodniach.

Raz, zręcznym dowcipem skończywszy rozmowę z panną Emilią, która dopytywała się go, czy woli czarne lub błękitne oczy, poprosił Felicyą, aby zagrała. Miałam silne podejrzenie, że prośba ta wyniknęła z pragnienia porozmawiania z nią przy odgłosie muzyki sam-na-sam. Nie ręczę, czy domysł ten nie przemknął także przez głowę Felicyi, bo zmieszała się i przez chwilę z krzesła nie wstawała.

Po chwili jednak wstała i, spokojna, z uśmiechem na ustach a płomieniem w oczach, przeszła do fortepianu. Pan Józef, który na prośbę Tarnickiego kończył partyę preferansa, uśmiechnął się rozkosznie i bujnego węża pokręcił. Pochlebiało mu to widocznie, że żona jego jest zdolną bawić grą swoją takiego mądrego gościa. Usiadła przy fortepianie i grała. On stanął blisko niéj i wzrokiem ogarniał jój głowę, strojną w ogniste połyski, które światło, padające z okna, rozpałało w jój włosach. Grała długo i nie zamienili z sobą ani jednego słowa. Tylko stopniowo granie Felicyi stawało się coraz powolniejszym, słabszém, aż zerwało się całkiem. Ręce jój zsunęły się z klawiszy i, prędko, z pochyloną głową, wyszła z salonu. Gdy po kilku minutach wróciła, pana Adama już nie było. Mówiąc, że pilno mu dziś jeszcze na wieś wrócić, z uśmiechem i ukłonami, na wszystkie strony rozdawanemi, pożegnał towarzystwo, a pannę Michalinę bardzo grzecznie poprosił, aby od niego pożegnała bratową.

Zegarze! który tam w zmroku nieustannie, jednostajnie wydzwaniasz upływające sekundy, metaliczny tentent twój jest jedną z niewidzialnych dróg tych, któremi przylatują tu nam wspomnienia!

Pamiętam, że gdy dnia pewnego przysłam do Olińskich, Felicya wydała mi się bardzo zmienioną. Po zbladłej twarzy jój przebiegały od chwili do chwili błyski tajemnych wzruszeń, oczy patrzyły głębiej jeszcze i świeciły goręcej niż zwykle.

Witając mię, pan Józef zawołał:

— A że téż to państwo zawsze jednéj myśli jesteście z panem Tarnickim! Michalinka chodziła dziś do sklepów po sprawunki i spotkała go w mieście. Mówił, że przyjdzie dziś do nas po obiedzie!

— Pierwszy to raz zapowiedział się nam — zauważyła panna Michalina — przychodzi zawsze niespodzianie.

— Zaczny człowiek i rozumny, o! bardzo rozumny, — zawołał pan Józef.

— Majętny i godny obywatel — dodała staruszka.

— Bardzo przystojny — uzupełniła panna Emilia i zaraz, ze spojrzeniem na pana Teofila, który był brunetem, dodała: — choć blondyn, a ja w ogóle blondynów nie lubię!

Felicja usiadła przy podłużnym stole z robotą w rękę, ale robota opadła wkrótce na jej kolana.

— Ach! jak mię dziś głowa boli! — szepnęła do panny Emilii tak cicho, jak gdyby wstydziła się swęj skargi.

— I mnie zaraz bolęc będzie, bo już czuję ściskanie w skroniach — odpowiedziała młoda, rumiana i dzielnie zbudowana panna.

Była to chwila powszechnego picia kawy. Ktoś czegoś do aktu tego zapotrzebował. Felicja niecierpliwym trochę ruchem głowę podniosła i do siostry męża zwróciła się:

— Proszę cię, Michasiu, wyręcz mię dziś...

U boku pretendenta, czy tylko wielbiciela swego, siedząca panna podniosła się z karnapy, ale tak leniwie i tak niechętnie, że Felicja, lekkim dotknięciem ręki jej i giestem głowy powstrzymał ją, sama wybiegła z pokoju.

— Pani Felicja jest doprawdy niezmordowaną — rzekłam do staruszki, przy której usiadłam.

— A niezła kobiecina! bardzo niezła! — odpowiedziała z roztargnieniem, sprawionem przez mieszanie kart preferansowych.

Pan Józef żywo zaprzeczył matce.

— Co to, niezła, moja mamol! to anioł nie kobieta! już to doprawdy mego szczęścia trzeba, aby dwa razy tak dobrze trafić. Pierwsza żona moja była także aniołem. Straciłem ją. Dom bez gospodyni, drobne dzieci bez matki... A ot teraz mam sobie znowu kobiecinę pocziwą, dobrą, pracowitą i — chwała Bogu!

Mimo woli przypomniałam sobie to, co kiedyś mówiła mi o szczęściu niemowląt, mających przy sobie ramiona jakieś, które je tulą i ogarniają.

Po chwili zapytałam ją na stronie:

— Co ci jest dzisiaj?

— Sama nie wiem — odszepnęła — miewam czasem dni takie, że czuję się zmęczoną, jak splakane dziecko. — I z uśmiechem dodała zaraz: — Ale to przejdzie!

Po raz pierwszy ośmieliłam się dotknąć osobistych spraw jej i uczuć.

— Czy nie czujesz w sobie goryczy... urazy? — z wahaniem zapytałam.

Wpatrzyła się we mnie zdumionem spojrzeniem.

— Urazy? — zapytała — do kogo? Alboż ktokolwiek przeciwko mnie zawinił? Alboż ludzie winni temu, że jestem taką, jaką jestem? Gdyby oni stwarzali mię, ulitowali-by się pewno i nie zaopatrzyli-by mię na drogę życia w niepotrzebne dla niej rzeczy. Ale oni mnie nie stwarzali...

W tęg chwili zawołano ją do *balamuta*. Wstała. Zatrzymałam ją i zapytałam:

— Pocóż zadajesz sobie przymus ten nieprodukcyjny?

— Wszystko jedno! — odpowiedziała pędkiem i z drgnieniem brwi. — Wszystko jedno!...

Zaledwie *balamut* rozpoczął się, wszedł pan Adam. Zauważyłam, że i on także dnia tego wyglądał nie zupełnie tak, jak zawsze. Bywają już dni takie, w których człowiekowi, niewiadomo dlaczego, wszystko trudniej, boleśniej, burzliwiej niż zwykle.

Powitali się z Felicją z uderzającym chłodem i niezwykłą ceremonialnością. Pomyślałam sobie, że gdy płomień rozszerza się i wzdyma, pomiędzy nim a sobą stawimy zasłony. Po kilku jednak minutach rozmowy ze staruszką i panem Józefem, Tarnicki uprosił ich, aby wespół z panią Skwierską kontynuowali preferansa, a sam, zręcznie lawirując pomiędzy ex-profesorem, czyhającym na niego z wędką polityczną, a panną Emilią, usiłującą pochwycić go w sieć spojrzeń swych i żartobliwych zagadnień, stanął za Felicją. Trzymała właśnie w rękę karty, w szeroki wachlarz rozwinięte i bardzo starannie pary pomiędzy niemi dobierała.

— Zajmująca gra! — z wielką powagą rzekł Tarnicki.

— Zajmująca gra! — odpowiedziała Felicja z uśmiechem i w oczach ję zakreęily się łzy.

— Prosimy! prosimy pana do *balamuta!* — zabrzmiał przy stole choralny okrzyk. Skłonił się grzecznie.

— Przepraszam, ale właśnie przyniosłem dziś dla pani Felicji książkę, której sobie życzyła, i chciałem zaproponować, abyśmy wspólnie przejrzieli zdobiące ją ilustracje. Najczystszy i najwspanialszy Doré.

Spostrzegłam, że zadrżała.

— Natychmiast! — zawołała srebrnym swym głosem — gdybym w tęg chwili odeszła, partia była-by zupełnie zepsuta. Dokończę ję, a potem...

Skrzyżował ramiona u piersi i, stojąc wciąż za ję krzesłem, wesoło przepowiadał pannie Emilii, że ona to za chwilę zostanie balamutką i głowę swą ustroi w kapelusz męzki. Stało się, jak mówił. Dokoła stołu powstał gwar i śmiech wielki. Nieparzysta karta została w ręku młodej panny, na głowie ję znalazł się kapelusz pana Teofila, w którym ję było bardzo do twarzy.

Felicja wstała, Tarnicki wziął ze stołu książkę, którą był z sobą przyniósł.

Z miejsca, na którym siedziałam, widzieć mogłam, jak w sąsiednim pokoju, noszącym nazwę gabinetu, stanęli u okna i jak Felicja trzymając dużą i piękną książkę, z wolna przewracała ję karty.

Tym razem rozmawiali z sobą. Dochodziły mię nawet urywki ich rozmowy. Mówili o Bozkiej Komedyi, o Dantem, o genialnym rysowniku, w którego twory, pełne posępnęj fantazyi, wpatrywali się oboje, ze spuszczonei na książkę oczyma. Chwilami on tłómaczył ję coś, czy o częms opowiadał i nagle umilkął; ona zapytywała go, albo odpowiadała, albo czytała głośno strofę poezyi, i w połowie okresu, w połowie strofy, milkła także. Promień zachodzącego słońca spłynął na nią przez okno, tak, że w blasku jego stanęła cała, jak w ogniu. On, w cieniu nieco, czoło miał bardzo blade i brwi ściągnięte nad oczyma, wpatronemi nie w książkę już, ale w płonąą od słońca, a jak marmur nieruchomą, ję twarz. W tęg chwili podali sobie ręce na pożegnanie. Z uśmiechem zamienili jeszcze z sobą słów kilka; zdaje mi się, że, wspominając kogoś wspólnie im znajomego, zaśmieli się. Potęm Tarnicki uprzejmie, nawet wesoło, pożegnał zebrane w salonie towarzystwo i raz tylko, ode drzwi już, rzucił spojrzenie w głąb' gabinetu, w którym przed chwilą rozmawiał z Felicją: Z kapeluszem w ręku stanął, jakby jeszcze na coś czekał. Patrzałam na niego uważnie; struna owa, o której wspominał mi kiedyś, śpiewać w nim dnia tego musiała dziwne jakieś, szalone pieśni. Ale, oprócz niego, nie słyszał ich nikt.

W pół godziny późnięj, przy preferansowym stole, pan Józef i matka jego drzemali, nawet już spali. Z jego ręki karty wysypały się na podłogę, z ję wypadały jeszcze stopniowo i z wolna. U jednego z okien, pan Skwierski i pani Liniewska, trzymając za wszystkie cztery rogi szeroko rozpostartą siatkową serwetę, półgłosem ale zawzięcie sprzeczali się o barwy i kształty róż czy arabesek. Przy drugiem oknie dwaj gimnazyści, usiłując przez otwarty lufcik wyjrzeć na ulicę, szęptali i chichotali z cicha. Z dwóch stron podłużnego stołu dwie pary, młoda i niemłoda, szęptały także. A na stołach i oknach pełno było szklanek, garnuszków, kieliszków, rozsypanych okruchów ciasta i w stosy nagromadzonych łupin od owoców.

Poszłam szukać Felicji.

Siedziała w głębi gabinetu, na kanapce, z twarzą w ogniu i łzach. Pięrszy to i ostatni raz widziałam ją płaczącą. Był to płacz cichy, rzęsisty i głębokki. Chciałam odejść, ale spostrzegła mię i przywołała skinieniem głowy. Ujęła mię za rękę, przechyliła się ku memu ramieniu i z gorączką na twarzy i w głosie mówić zaczęła:

— Nie wiem, czy to nazwiesz występkiem albo nieszczęściem, ale ja tego wyrzucić z siebie nie mogę... Nie wiem, czy ty to nazwiesz mądrością, albo szaleństwem, ale pomiędzy nami nie będzie nigdy nic... nic... nic... nawet słowa!...

Obu dłońmi przycisnęła pierś, aby stłumić łkanie i prędkim ruchem otarła z twarzy łzy, które ją znówu oblały. Coraz prędzęj i coraz ciszej mówiła:

— Nie mogę, aby słowo jego lub moje przybyło do wspomnień, które czyste, wiecznie jednak jak zakłęte stoją przed oczyma! Momenta, jak błyskawice... czekam ich, czekam, czekam! Za tydzień, za dwa... pojutrze... jutro! I przelatują bez głosu, a potem znówu i zawsze... i tak wiecznie będzie!

Obie dłonie przeciągnęła po twarzy. Zapanowała nad sobą i myślała nad czémś chwilę. Potem, biorąc mię znowu za rękę, powoli już i z namysłem mówiła:

— Słuchaj! wszak niewielu jest ludzi na świecie, którzy los swój sami sobie wybrali. Wszystkim nam prawie, coś, co nie jest wolą i wyborem naszym, podaje w ręce prząśnicę i wątek, z których snuć mamy długie pasmo życia. Pasma bywają różne. Moje jest szare. Niéma w niém wcale różowych nitek, tylko wszystkie cienie popielatego koloru...

Drżącymi ustami uśmiechnęła się i zarazem ruchem pełnym energii wyprostowała kibić.

— Nic to! prząść je będę w milczeniu, z sercem i czołem czystym... do końca!...

— A ta złota nitka, o której mówiłaś mi kiedyś?

Mocno, bardzo mocno ścisnęła moją rękę i odpowiedziała:

— Ta złota nitka błysnęła mi nieoczekiwana, niewzywana. Nad szarą przędzą moją błysnęła wysoko i wysoko pozostanie... Świeci mi z góry... jak promień słońca, i kiedy jestem bardzo już zmęczona i smutna, podnoszę ku niej oczy, lgnę do niej sercem i biorę od niej znowu trochę sił i spokoju...

Patrzała, mówiąc to, wysoko i wyciągała w górę splecione ręce. Dwie już tylko ciche łzy płynęły po jej policzkach. Po chwili, kryjąc oczy w dłoniach, z cicha mówiła:

— Bo wiedzieć, że ktoś piękny, dobry, wielki, myśli o nas czasem serdecznie i z tęsknotą — i marzyć czasem o wielkiem a niepodobnym szczęściu... czyż to nie wielka, choć smutna, radość? Po chwili dodała: — To moja jedyna radość na ziemi!...

Wyciągnęłam ramiona, aby objąć ją do siebie przygarnąć; chciałam powiedzieć jej wiele, wiele rzeczy, ale na progu gabinetu ukazał się ex-profesor z gazetą w obu rękach, ożywionym bardzo krokiem zbliżył się i, usiadłszy obok nas, zaczął:

— Wa... ważna w... w. wiadomość!.. Z przebie... biegu e... europejskich per... per... pertraktacyi wwnosić można, że... że... że posło... osło... osłowie w Kon... stan... t... t... polu oczekują od... do... p. p. Porty us... ustępstwa na... na... na k... korzyść Gre... Grecyi...

Wkrótce potem okoliczności różne i ode mnie niezależne przeniosły mię w strony dalekie. Olińskich i Tarnickiego najzupełniej straciłam z oczu i długo nie wiedziałam, co się z nimi dzieje. W parę lat dopiero, po wydaleniu się mém z okolic Ongrodu, otrzymałam od pana Adama list, którym zawiadamiał mię, że spełnia nakoniec to, co mu tak żarliwie doradzałam, to jest: żeni się. Żenił się z osobą całkiem mi nieznaną.

Dumałam nad listem tym chwil kilka. Czyliż-by on dowodził, że nakoniec pan Adam „spotkał, zobaczył, znalazł?” Wątpię. Nigdy pewnym być nie można, aby fakt jakiś dowodził tego właśnie, czego dowodzić się zdaje. Po prostu, przyszła taka jakaś pora, czy chwila, czy okoliczność... Bardzo zwyczajnie i naturalnie.

I znowu upłynęło sporo czasu — lat może dwa lub trzy — gdy wypadek sprowadził spotkanie moje z Teofilem Siekierskim, codziennym niegdyś gościem Olińskich. Przedewszystkiém i z pośpiechem zapytałam go o panią Felicję, a mimowoli, przypomniawszy sobie deklamowany przez pana Teofila wiersz o sercu, które pękło, zapytanie moje sformułowałam w dwu wyrazach:

— Czy żyje?

— A jakże, żyje sobie jak dawniej — odpowiedział pan Teofil.

Bardzo naturalnie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zlota-nitka>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Z różnych sfer*, tom III, nakład i druk S. Lewentala, Warszawa 1886.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0668-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).